Tom XVII. Nr. 18.

21. grudnia 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Marek Jakimowski.

Polacy często odnosili zwycięstwa nad nieprzyjaciołmi, ale zdarzało się także że skutkiem nieszczęśliwych okoliczności ponosili klęskę. Nieszczęśliwą dla oręża polskiego była bitwa pod Cecorą, z Turkami, w której poległ sławny hetman Żółkiewski wraz z kwiatem rycerstwa. Wielu także dostało się tam do niewoli. Ci zazdrościli tamtym, którzy zginęli na polu sławy za ojczyznę, bo niewola, a do tego u Turka, zdawała im się piekłem za życia; trudno ją znieść, a wydobyć się z niej prawie niepodobna. Pomiędzy jeńcami był dzielny jeden młodzian, nazwiskiem Marek Jakimowski. Wrzała w nim krew rycerska, oswoić się nie mógł z tą myślą że jest w niewoli; zaiskrzonem okiem patrzył jak Turcy zwijali obóz i gotowali się do drogi. Kilku starszych zbliżyło się do gromady więźniów, obejrzeli ich kolejno, coś radzili z sobą, nakoniec rozdzielono ich na dwie gromady: jedną gromadę spętano, otoczono chmurą konnego żołnierstwa i za danym znakiem orszak ruszył, ruszył lądem do Carogrodu; drugich do Azji przeznaczono; odprowa-

dzono ich więc na brzeg morski do portu i wsadzono na okręt. Marek Jakimowski przydzielony został do szczuplejszej więźniów gromady, do tych co mieli płynąć po wód falach daleko za morze. Przyszła chwila stanowcza, jeńcy smutnem wejrzeniem pożegnali ląd, a myślą strony ojczyste, których już nigdy ujrzeć nie mieli. Okręt przy wietrze pomyślnym ruszył w drogę. Jakimowskiemu lica ogniem pałały, z oczu młodzieńczych sypały się iskry jakby lwu do klatki schwytanemu. Zacisnął usta i milczał ale trząsł się z gniewu i oburzenia; był w rozpaczy, a rozpacz nie zna miary ani hamulca

— I na co mi teraz życia? — pomyślał sobie — aby mną poniewierano, aby się naigrawano ze mnie? lepiej zginąć, jak marnieć w niewoli. Zginę... albo... albo będę wolnym. Próżne marzenie! z okrętu uciec niepodobna, chyba na dno morskie. Cóż więc począć? Skruszyć więzy? wymordować dozorców? Tak! lecz czem? gołemi rękoma? Myśl okropna, ale cóż innego pozostaje? Spróbujmy! jeźli się nie uda, zabiją mnie... nie wiele stracę; jeźli się uda, ocalę siebie i towarzyszy.

Po krótkim namyśle powziął stanowczy zamiar wyzwolenia się przemocą. Szybko porozumiał się z towarzyszami niewoli i oczekiwał tylko stosownej chwili, aby zamiar powzięty przywieść do skutku. Całą noc oka nie zmrużył, paliła go gorączka niecierpliwości, ukląkł i w modlitwie szukał pociechy i wzmocnienia. Nakoniec gdy świtać zaczęło, a dozorcy spali jeszcze w najlepsze, skruszył więzy swoje jednem silnem szarpnięciem; już kość rzucona, cofnąć się było niepodobna, trzeba było działać i to szybko. Rzucił się na dozorcę, który mu najprzód wpadł w oko, zdusił go za gardło — wydarł mu oręż i ugodził nim w samo serce wroga. Zabity ledwo jęknął głucho, ale jęk ten przebudził dwóch innych dozorców. Jednocześnie z dwóch stron błysnęli nożami po nad głową wyzwoleńca, ale i on miał już oręż i wprawnie nim władał, a rospacz dodawała mu siły i odwagi. Rzucił się na nich jak lew, szczęście mu posłużyło i zgładził obudwu. Było to dziełem jednej chwili, ale też było dopiero pierwszym krokiem. Bo oto zbudziła się reszta załogi, cały okręt w poruszeniu, do broni! do broni! wołają Turcy. Jakimowski zbiegł do towarzyszów, już wiedzieli jak mu się

powiodło, już ten i ów sili się aby się z więzów wydobyć. Jakimowski pomógł jednemu i drugiemu, już wolni, już duch w nich wstąpił, czemprędzej uwalniają drugich, lub powstrzymują wdzierających się Turków. Nim kwadrans minął już wszyscy byli wolni i gotowi do walki; a walka miała to być okropna, śmiertelna. Z gołemi pałaszami rzucili się Turcy na bezbronnych, ale jeńcy odparli pierwszy zapęd, wydarli kilka oręży wrogom, kilku z nich położyli trupem. Turcy w obronie życia bili się zacięcie, jeńcy w obronie wolności cudów waleczności dokazywali. Długo ważyło się zwycięstwo, nakoniec szala przewaliła się na stronę barbarzyńców. Turcy coraz słabszy stawiają opór, coraz bardziej zmniejsza się ich liczba, jeńcy zwyciężyli.

Rozlegają się na okręcie okrzyki zwycięstwa, okrzyki radości, uszczęśliwiona gromadka oddycha swobodnie, czując się wolną, jeden tylko Jakimowski stał z boku zamyślony i patrząc na współbraci myślał sobie w duchu:

— Bóg nam poszczęścił, zwyciężyliśmy, dobiliśmy się wolności, ale co teraz? cóż poczniemy gdy nikt z nas nie umie kierować okrętem? Mamyż zdać się na wolę wiatrów i morskich bałwanów? Nie, nie, trzeba coś radzić..... a Bóg miłosierny, co nam dotąd pomagał, nie opuści nas i nadal.

Potrzeba dodała odwagi. Nie tracąc chwili stanął u steru, silną dłonią ujął wiosło, pociągnął drugich swoich przykładem, spróbowano i zamiar się udał. Po modrej wód przestrzeni, przy wichrze pomyślnym, okręt choć niewprawną kierowany ręką, mknie chyżo, coraz dalej i dalej, aż po dniach niewielu zawinął do stolicy świata chrześcijańskiego, do Rzymu. Jakimowski wysadził na ląd towarzyszy, poszli do kościoła uderzyć czołem Bogu i podziękować za doznane tak wielkie dobrodziejstwo, a potem do ojca św. Papież uprzejmie powitał gromadkę, co prawie cudem uszła podwójnego niebezpieczeństwa, kazał sobie opowiadać dziwne przygody, słuchał ich z rozrzewnieniem, jak czuły ojciec i udzielił podróżnym swego błogosławieństwa; Jakimowskiego zaś pochwalił szczególnie, nazwał go ukochanym synem i własną ręką krzyż złoty na jego piersiach zawiesił.

*

Wkrótce po całym Rzymie rozeszła się wiadomość o przybyciu synów owego kraju, co od tak dawna był zasłoną całego chrześcijaństwa. Z ust do ust krążyło opowiadanie o ich przygodach i wszyscy podziwiali nadzwyczajną odwagę rycerzy polskich, a szczególnie ich dowódzcy. Marek Jakimowski tymczasem wraz z towarzyszami w dalszą gotował się drogę, spiesząc do ojczyzny, gdzie już miano ich za straconych, i ani się spodziewano ujrzeć wolnych, zdrowych i chwałą okrytych.

Kolęda.

I.

W żłobie leży przy macierzy
Ten, co z niebios niesie wieść:
Któż pobieży? któż uderzy
W struny niemowlęciu w cześć?
Pastuszkowie przybywajcie,
Dziecię we łzach uciszajcie,
Bogu trudno ciemność znieść.

Przybywajcie i zagrajcie
Chrystusowi, dziecku z gór;
Nad nim oto, niebios złoto,
Już świegocze duchów chór,
Hymn Dawida uroczysty
Nuci w chmurach zastęp czysty,
Wy zanućcie ziemski wtór.

W mrocznej jamie, w skał załamie
Wschodzi ziemi słońca brzask,
Wraz z bydlęty spi wódz święty,
W lochu drzemie dawca łask;
Przy nim matka i pastuszek
I opiekun, już staruszek,
Z lic niebieski lśni im blask.

W Betleemie niskie plemię
Świtający widzi dzień,
Pan pieczary, pastuch stary
Jakby sługa skrył się w cień:
W Jeruzalem, Judy głowie,
Górą jeszcze doktorowie,
Sklepem wciąż świątyni sień.

W Jeruzalem jeszcze z żalem
Wciąż za zbawcą wzdycha lud,
W Jeruzalem przed Baalem
W modłach duszy płynie brud:
W Betleemie małem mieście
Rozeszły się błogie wieście,
Lud zaczyna wierzyć w cud.

Lecz nie wszyscy Bogu bliscy,
W pańskim grodzie w mrokach spią,
Do Heroda, jakby woda,
Szare duchy chyłkiem mkną,
Ciągną rzędem faryzeje,
Kędy biesa tron jaśnieje,
Oczy im się piekłem skrzą.

Mkną szaleni i uczeni
U dumnego składać wiec,
Nad ksiąg zwojem, z niepokojem
Krocie żółtych palą świec;
Z stron dalekich trzej królowie
Zapalili im żar w głowie,
Prysk, co z dusz nie mogą zwlec.

Trzej królowie w niebios mowie,
W gwiazdach wyczytali świt,
Więc im zbrzydła bańka z mydła,
Więc im ziemski świat ich zbrzydł,
Wybrali się tedy w drogę,
By z dusz ziemską złożyć trwogę,
By ich z brudu obmył żyd.

W drogę poszli lwy wyniośli,
Kędy gwiazdy wiódł ich szlak,
Aż ich w jeździe w Judy gnieździe
Tajemniczy wstrzymał znak.
Tu o króla żydowskiego
Spytali się brata swego,
Prosząc, by ich wywiódł z mrak.

Z jego sali wyszli biali
Trzej mocarze króle niw,
Blask ich wiedzie, król więc w biedzie
O swej dumy ciężki siéw,
Raz wraz bada więc i pyta
Jaka w księgach wieść wyryta,
Z żalu, złości ledwie żyw.

Wyszli czyści, promieniści,
Obcy ludzie z czarta szpon;
Inną drogą, z wieścią błogą
Do rodzinnych wrócą stron:
Przy Herodzie tylko właśni
Zostali się niegdyś jaśni,
Stróże ludu, stada wron.

Jako wrony w cudze plony
Na jesienny mknące żer,
Siedzą, radzą, czartu kadzą,
Z ust ich kłamny płynie szmer,
Każdy bada, każdy czyta,
Każdy myśli, że mu świta,
A tu ciągle wpada w wir.

Od ksiąg duchy, wzięły puchy,
Uleciały w niebios strzeń,
Więc rabini jak Kaini
W coraz gęstszy idą cień;
Aniołowie pisma stróże,
Zaspiewali hejnał w górze,
Ziemi ogłosili dzień

Aniołowie niebios głowie,
Złożyli z swej służby lik,
Pan go przyjął, z czoła wyjął
Na dzień nowy nowy szyk;
Posłał sługę do pasterzy,
Którzy go kochali szczerzy,
Których On też kochać zwykł.

II.

Przybieżeli do Betleem pastérze,
Hej, hej, pastérze, pastérze, pastérze,
Grając dźwięcznie dzieciąteczku na lirze,
Hej, hej, na lirze, na lirze, na lirze.

Na lirence i na dudkach zagrali,
Hej, hej, zagrali, zagrali, zagrali,
Aż się święci na niebiesiech zaśmiali,
Hej, hej, zaśmiali, zaśmiali, zaśmiali.

Sam król Dawid graniu ich się dziwował,
Hej, hej, dziwował, dziwował, dziwował,
Aż od wstydu swoję arfę w kąt schował,
Hej, hej, w kąt schował, w kąt schował,
w kąt schował.

Pastuszkowie dzieciąteczku zagrali,
Hej, hej. zagrali, zagrali, zagrali,
Dary skromne królewiątku składali,
Hej, hej, składali, składali, składali.

Róże, lilje i niebieskie bławaty,
Hej, hej, bławaty, bławaty, bławaty,
W wielkim koszu niósł koziołek kosmaty,
Hej, hej, kosmaty, kosmaty, kosmaty.

Jeden pasterz, łysy dobrze staruszek,
Hej, hej, staruszek, staruszek, staruszek,
Niósł na plecach wór orzechów i gruszek,
Hej. hej, i gruszek, i gruczek, i gruszek.

Przy nim babka z wielką krostą pod okiem,
Hej, hej, pod okiem, pod okiem, pod okiem,
Niosła miechy dwa konopne z obrokiem,
Hej, hej, z obrokiem, z obrokiem, z obrokiem.

Dla osiołka je przyniosła pańskiego,
Hej, hej, pańskiego, pańskiego, pańskiego,
Aby z pańska wypełnił się grzbiet jego,
Hej, hej, grzbiet jego, grzbiet jego, grzbiet
jego.

Gdy pasterze tak swe hołdy składali,
Hej, hej, składali, składali, składali,
Nadciągnęli trzej królowie z oddali,
Hej, hej, z oddali, z oddali, z oddali.

Trzej królowie w pozłocistych ornatach,
Hej, hej, ornatach, ornatach, ornatach,
Na arabskich nadjechali bachmatach,
Hej, hej, bachmatach, bachmatach, bachmatach.

Zsiedli z koni, do nóg Panu przypadli,
Hej, hej, przypadli, przypadli, przypadli,
Złoto, mirę przed nim w darze pokładli,
Hej, hej, pokładli, pokładli, pokładli.

Pan się do nich jakby słonko uśmiéchnął,
Hej, hej, uśmiéchnął, uśmiéchnął, uśmiéchnął,
W dumnych panach duch na chwilę przycichnął,
Hej, hej, przycichnął, przycichnął, przycichnął.

Aż po chwili gdy mu błysło z nich złoto,
Hej, hej, z nich złoto, z nich złoto, z nich złoto,
Panu lica schmurzyły się znów słotą,
Hej, hej, znów słotą, znów słotą, znów słotą.

Więc pasterze zabrzęczeli znów w liry,
Hej, hej, znów w liry, znów w liry, znów w liry
I z panami zanucili hymn szczéry,
Hej, hej, hymn szczéry, hymn szczéry, hymn szczéry.

III.

Lulajże Jezuniu, dziecię królewskie,
Lulajże w żłobeczku ptaszę niebieskie;
Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj,
A ty go matulu w płaczu utulaj.

Długo my, oj długo na cię czekali,
Długo my za tobą ciężko wzdychali,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Lulajże Jezuniu, pociecho nasza,
U pasterskiego tu lulaj poddasza,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

My króle i chłopy my tu najpierwsi,
My twoi, Jezuniu, bracia najszczersi,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

My króle po przodkach dar wiedzy dzierżym,
My okiem uczonem świat gwiezdny mierzym,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Nam królom korona na głowie cięży,
Więc my gołębia poznamy wśród węży,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

My króle, choć w zlocie, my najbiedniejsi,
My w sercach u braci zawsze najmniejsi,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Jezuniu, nas królów weź w swą obronę,
Z przed oczu narodu odsuń zasłonę.
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Rzecz braciom, Jezuniu, że jedna droga,
Prowadzi i króle i lud do Boga,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Rzecz braciom, Jezuniu, że lud jest z nami,
On, co rozmawia z jasnemi duchami,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Rzecz braciom, Jezuniu, że chłop to siła,
Że ludu nie zmoże ręka nadgniła
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Ucz braci, Jezuniu, ucz pobożności,
Niech będą jak chłopy czyści i prości.
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Cyt, cyt, cyt, zasypia małe dzieciątko,
Przymruża oczęta niby kurczątko.
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Lulajże, Jezuniu, lecz lulaj czujnie,
Bo jeszcze na ziemi chwast rośnie bujnie.
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Piękne przykłady.

Ustawa Rady gminnej w Bystry, parafii Szymbark, podług nauki ś. p. Karola Antoniewicza.

(Dokończenie).

— Ale jeśli mówisz, że bez wódki weselić się nie można, to przyznać musisz, że bez wódki płakać można. Bo jakżeż ta sama wódka może być przydatna i na śmiech i na płacz, i na radość i na smutek. Kiedy pijesz przy chrzcie człowieka, to przynajmniej nie pij przy pogrzebie jego! Czyż i przy pogrzebie chcesz się jeszcze weselić i radować? Ach nie, powiesz, ale ta wódka to ma jakąś w sobie cudowną moc i siłę. Kiedy potrzeba do radości, to ona człowieka uraduje, a kiedy smutek jest, to ona do łez pobudzi! A więc sam wyznajesz, że to już nie serce twoje, ale wódka, która w tobie i płacze i śmieje się! Pogrzeb katolicki, a przy tem wódka! Wynoszą trupa z domu, ach może to ojca, może matkę — może to męża albo żonę! Biedne sieroty, któż teraz wami opiekować się będzie, nie masz ojca, któryby się wami opiekował, nie masz matki, któraby was do serca tuliła; któż was będzie uczył, jak macie Boga kochać i szanować święte prawa Jego; któż dla was garnczek do ognia przystawi, któż wam kawałek chleba ukroi? Biedni rodzice, któż was pocieszy w starości waszej, któż was doglądać będzie w starości waszej? Obcy może oddziedziczą ten majątek, na któryście tak krwawo pracowali! Biedna wdowo i wdowcze! jakże sobie dasz radę i z gospodarstwem i z dziatkami małemi, bez tej towarzyszki, bez tego towarzysza życia twego? Biją dzwony, ksiądz żałobne odmawia pacierze, ruszają się mary, para wołków lub koni ciągną wóz, na którym złożono trumnę, po zarosłej drodze na smętarz. I taka boleść prawdziwa maluje się na wszystkich twarzach, i taki żal serdeczny przebija się we wszystkich oczach, i tyle westchnień i łez i cichych modlitw, które zaledwie tę posępną przerywają ciszę! To pogrzeb katolicki! pełen boleści ale oraz i nadziei, i złożą martwe zwłoki do tej ziemi, z której wyszły, i posypią tą ziemią, w którą się

ohrócą, i pokropią wodą święconą, i pomodlą się, i krzyż postawią, i to wszystko pięknie, chwalebnie, święcie. Ale na tem, oby i pogrzeb katolicki się skończył, i wszyscy oddawszy nieboszczykowi tę ostatnią przysługę, powrócili do domów swoich, do prac, do obowiązków swoich. Ale nie! Pogrzeb po wsiach to nie na smętarzu się kończy, ale w karczmie, co po bożemu zaczęło, kończy się po szatańsku. Bo zły duch wszędzie musi się wmieszać, między płaczących i śmiejących się, aby zbierać dziesięcinę swoją.

Piją ludzie za duszę nieboszczyka, aby się jeszcze po śmierci przekonał, jak oni go za życia kochali. Piją, aby mu okazać, jak umieją szanować pamiątkę jego! A sieroty tymczasem w ubogiej chatce i nie masz nikogo, ktoby się nad niemi ulitował. Nikt do nich nie zajrzy, nikt im jeść nie przyniesie, nikt ich łez nie osuszy. Dają karczmarzowi piękny grosz, i to ma być ich jałmużna. O zaiste, jeśli dusza nieboszczyka potrzebuje pomocy w modlitwie i jałmużnie, to ta pijatyka do nieba jej nie zaprowadzi.

Aby więc pogański ten zwyczaj, przepijania za duszę nieboszczyka wykorzenić, Rada gminna w Bystry uchwaliła, *aby pogrzeb katolicki kończył się na smętarzu a nie w karczmie.*

— Ale powiedzieć może kto: To wszystko prawda, ale sprawy, kłótnie, spory, jakże tu ukończyć bez wódki? Ja ci tak powiem, że właśnie wódka najczęściej jest początkiem i powodem do tych wszystkich kłótni i niepokojów. Przypatrzmy się jednej takiej kłótni i sprawie z bliska. Karczma to jest miejsce sądowe. Zasiadł na ławie pan wójt gromady, z dziesiętnikami, leśnymi: stoją oskarzony i pokrzywdzony, domagając się sprawiedliwego wyroku. Od czego zaczyna się sąd? Trzeba się napić — bo sprawiedliwość trzeźwa nie ma wagi, a pan wójt dopiero, kiedy rozum utraci, mądrego coś uradzi! Oto skrzywdzony zanosi skargę, że cielę sąsiada wdarło się do ogrodu i spasło całą grządkę kapusty! A to cielę winne — otaksujcie tę szkodę, a pieniądze między nas sędziów rozdzielcie. Ale kiedy to mnie się pieniądze należą, bo to moja była szkoda — odezwie się skrzywdzony. Co ty

hultaju, będziesz się z sądem kłócił — za karę dajcie tu kwartę wódki arendarzu, a ty za nią zapłacisz! Popili się sędziowie, a pokrzywdzony poskrobawszy się w głowę, wrócił do domu. Jedną grządkę kapusty zjadło cielę, a drugą wypili sędziowie.

Żeby się więc takie niesprawiedliwe wyroki nie powtarzały, przeto Rada gminna w Bystry uchwaliła, aby się sprawy gminne nietylko po karczmach nie załatwiały, co też i Ustawy gminne zakazują, ale aby także podczas obrad gminnych żadnych przepitków nie używano.

Ja zaś jako przytomny tym uchwałom Rady gminnej w Bystry, podaję je do publicznej wiadomości, w nadziei, że wszystkie Rady gminne za tym pięknym przykładem i nauką ś. p. Karola Antoniewicza pójdą.

O! czas już powstać z tego nieszczęśliwego nałogu, bo żadne Rady gminne nic nam nie pomogą, dopokąd ten nałóg pijaństwa trwać będzie po wioskach naszych. Żeby to miasto karczem pomnażały się szkółki, zamiast pędzenia wódki więcej książek dobrych drukowano, i więcej byłoby rozumu w głowie, i więcej grosza w kieszeni, a co najważniejsze, więcej łaski Bożej w sercu. Wszyscy na tem by zyskali — tylko djabeł by stracił i ci, którzy jemu pomagają! *J. R.*

O zimnie.

Wielkie to nieszczęście kiedy kto ma serce zimne, co nie płonie świętym ogniem miłości dla Boga, dla ojczyzny, dla bliźnich. Człowiek z zimnem sercem, którego ani gniew, ani dobrodziejstwa Stwórcy nie wzruszają, który nietylko kropli krwi, ale nawet marnego grosza nie dałby dla matki ojczyzny, człowiek taki, co obojętnie patrzy na łzy sieroce, obojętnie słucha płaczu opuszczonej wdowy, człowiek z tak zimnem sercem gorszy jest zaiste, jak ów kamień przy drodze, o który każdy z idących uderza się i rani w nogę. Wielkie, wielkie

to nieszczęście kiedy kto zagasi w sercu swojem ten ogień miłości, który sam Bóg w niem zapalił, kiedy je wychłodzi, wyziębi i pozwoli mu skamienieć na bryłę lodu. Ale nie o tem zimnie mówić chciałem. Niechaj kapłani wasi uczą was podsycać w sercach ogień tej miłości troistej dla Boga, dla ojczyzny, dla bliźnich, który w każdym, do ostatniego tchu życia, nigdy nieustającym, jasnym gorzeć powinien płomieniem — ja mówić będę tylko o tem zimnie zwyczajnem, które nam zima rokrocznie z sobą przynosi, o mrozach, a mianowicie jak się człowiek ma zachowywać aby jego zdrowiu nie szkodziły.

Człek co się w zagrodzie wieśniaczej urodzi i wychowa, człek co w roli pracuje, musi ciągle poniewierać się przy tej pracy, bez uwagi czy skwar słoneczny piecze, czy mróz trzaskący doskwiera i to od dzieciństwa, przez całe życie, dopóki tylko sił i zdrowia starczy. Toż od dzieciństwa oswaja się z zimnem i gorącem, z słotą i wichrami i dlatego jak mrozy, tak upały rzadko szkodzą wieśniakowi. Ale przecie zdarza się nieraz, że wieśniak wyszedłszy w drogę, nie wraca już do domu; szukają go i czasem dopiero po dniach kilku znajdują w rowie przydrożnym, bez życia, zmarzniętego. Zdarza się że sobie uszy albo nos odmrozi. Cóż w tem dziwnego? Choć oswojony z zimnem, przecie człowiekiem jest tylko, i ciało ma takie jak drudzy, a jeżeli rdza żelazo pożrzeć może, czemużby zimno nie miało zmódz ciała ludzkiego? Owóż i wieśniacy, choć niby bardzo oswojeni z zimnem, a przynajmniej tak, że nieraz z obnażoną piersią na mróz wychodzą i nic im to nie szkodzi, niechaj nie gardzą temi uwagami naszemi, bo i im także bardzo przydać się mogą.

Owóż pierwsza rzecz jest aby gdy jest mróz wielki nie wychodzić z domu na czczo. Choćby się kto i ciepło ubrał, nie wiele mu to pomoże, jeżeli ma próżny żołądek; człowiek głodny na wielkim mrozie prędko zmarznie, łatwo może się przeziębić i niebezpiecznie zachorować. Dlatego jeszcze raz powtarzam i niech sobie to każdy pamięta, że w mrozy nie trzeba z domu na czczo wychodzić. I nie dość jest napchać się suchym chlebem, ale ciepłą strawą posilić się trzeba. Toż, kto inaczej nie może, niech się raczej na wieczerzę obejdzie

kawałkiem chleba, a niech za to rano, gdy ma wyjść na robotę, ciepłe zje śniadanie.

Powtóre, kto w wielki mróz ma iść z domu, do roboty albo w drogę, niech sobie nogi dobrze i ciepło owinie. U nas po wsiach jest zwyczaj, że wkładają do butów trochę słomy, albo siana. Dobrze wiedzieć że siano lepsze jest niż słoma, ale i siano nie wiele pomaga gdy mróz bardzo jest silny. Owóż najlepiej jest owijać nogi szmatami wełnianemi, z podartego sieraka, który już na nic przydać się nie może. Także bardzo jest dobrze nakłaść do butów włosienia końskiego, który trzyma ciepło daleko dłużej niż siano, albo kto może, poowijać nogi miękką bibułą, to jest takim papierem w jaki towary po sklepach owijają.

Odzież ciepła na mrozy koniecznie jest potrzebna, ale o tem podobno nie mam co wiele mówić, bo któżby się na mróz ciepło nie ubrał jeżli tylko ma w co? Chyba jaki lekkomyślnik co jeszcze nie wie jakim to skarbem jest zdrowie. Ale i takich lekkomyślników nie braknie zarówno między parobkami jak i między dziewczętami — nie jedno z nich chcąc udawać zucha ciężko odpokutowało swoją lekkomyślność; toż dziewczęta gdy się stroją w niedzielę, niech bardziej o tem myślą by się nie przeziębiły, niż o tem aby krasą wstążkę na wierzch wystawić, bo zdrowie pierwsze jak wstążka. Ale i o tem dobrze wiedzieć że odzież zimowa lepsza jest wolna, niż opięta, w opiętej bowiem człowiek nie może wygodnie się poruszać.

Powiem wam teraz jak się twarz i oczy zabezpiecza aby ich nie odmrozić, ale to już tylko tych się tyczy, co w wielki mróz muszą koniecznie iść w daleką drogę, czasem o mil kilka. Owóż trzeba zagrzać trochę piwa, wlać do niego nieco roztopionego łoju albo gorącego oleju, wymięszać dobrze i tem wymyć twarz, usta i uszy, nie wychodzić zaś z domu aż ta tłustość dobrze wsiąknie w ciało. Tą mieszaniną można też natrzeć ręce i nogi. Niepodobna aby się tak człowiek mazał ile razy z domu wychodzi, ale jak to powiedziałem, gdy komu wypadnie iść w daleką drogę, albo na polowanie, gdzie czasem trzeba bardzo długo stać w jednem miejscu i ruszyć

się nie wolno, dobrze jest zabezpieczyć się w ten sposób, bo o złą przygodę nie trudno.

Jest u nas we zwyczaju że jak nastaną wielkie mrozy, wieśniacy rozgrzewają się gorzałką. To bardzo źle, bo wódka, choć jej nie wiele wypić, sprawia odurzenie głowy, osłabienie i senność, zwłaszcza gdy ją kto pije na czczo. Odrobina wódki w swoim czasie jako lekarstwo użyta rozgrzewa wprawdzie zziębniętego, ale któż u nas potrafi przestać na odrobinie? Kto zaś snem zmorzony zaśnie na drodze w mróz silny, trudno aby się obudził. Dlatego trzeba być bardzo ostrożnym w rozgrzewaniu się wódką, najlepiej zaś wcale się nią nie rozgrzewać. Lepsze jak wódka jest piwo, bo tak głowy nie zawraca, ale i z piwem nie można bardzo żartować bo i ono usypia.

Trzeba i o tem wiedzieć że nagłe ogrzanie po wielkiem zziębnięciu na silnym mrozie, także nie służy zdrowiu, owszem jest bardzo szkodliwe i może nawet być powodem, że człowiekowi ucho albo nos odpadnie. Gdy komu członki bardzo zziębną na mrozie nie należy wchodzić zaraz do ciepłej izby, lecz trzeba pierwej natrzeć śniegiem zmarznięte członki.

To są uwagi, które każdy powinien mieć w pamięci, i niech się nikomu nie zdaje, że skoro mu dotąd mróz nie szkodził, to mu i nadal szkodzić nie będzie, bo jak mówi przysłowie, póty dzban wodę nosi, póki mu się ucho nie urwie. Na ostrożności jeszcze nikt nie stracił, a że zdrowie jest największem człowieka skarbem, starać się należy aby tego skarbu na szwank nie narazić.

Ale jeżeli ludzie dorośli o tem wszystkiem wiedzieć i wszystko co się tu powiedziało zachowywać powinni, o ileż wiecej tyczy się to dziatwy wiejskiej, co jeszcze z poniewierką i mrozami nie oswojona. Gdy dzieci chodzą do szkoły, a szkoła jest nieraz o pół mili i więcej oddalona, jakże pilnie rodzice na to baczyć powinni aby mrozy nie szkodziły ich zdrowiu; a gdy ich już do szkoły posełają, jakże się strzedz powinni, aby ich gdzie z jaką posługą bez koniecznej potrzeby na mróz nie wyprawiać. Niech pamiętają o swoim obowiązku rodzicielskim, niech dbają o to, aby dziatwa nie marzła w dziurawej

i lekkiej odzieży, gdy mróz trzaskący na dworze; bo chociaż i z mrozem dobrze jest oswajać się, a nawet trzeba się do niego przyzwyczajać, toć przecie we wszystkiem miarę zachować należy. Ileż to dzieci ginie marnie z przeziębienia, przez niedbalstwo rodziców! Niech Bóg broni abyście i wy którzy te przestrogi czytacie do rzędu tych rodziców należeć mieli a zarazem niech was też wszystkich ten ojciec niebieski strzeże jako od największego nieszczęścia od owego chłodu serca, o którym na początku wspomniałem, niech nie dopuszcza aby w sercach waszych wśród mrozów zimowych, albo kiedykolwiek wystygnąć miała gorąca miłość dla Boga, dla ojczyzny i dla bliźnich. *Stanisław Krakowczyk.*

Zbójca Krudynhop.

Gadka sądecka.

Między Dunajcem a Popradem, w miejscu gdzie dziś kościółek św. Anny pod Podolińcem, w obwodzie sandeckim najgórzystszym prawie w naszej krainie, przesiadywał przed kilkuset laty straszny zbójca Krudynhop. Nietylko napadał podróżnych i obdzierał z wszystkiego, ale zabijał każdego nielitościwie swoją lipową maczugą. Że zaś w tem miejscu Poprad przerzyna Magurę, okolicę u stóp gór Tatrzańskich i jedna tylko była droga wzdłuż jego koryta, nie można było ominąć Krudynhopa, a podróżni zbliżając się do tej okolicy, gotowali się na śmierć. Był on postrachem owych stron, a maczuga jego obrosła gdyby korą, grubą warstwą zaschniętej krwi ludzkiej. Ani żal, ani skrucha nie powstały nigdy w tem dzikiem sercu — zdawało się, że na wieki zatracona ta czarna dusza. Chrystus jednak umarł za grzeszników, śmierć i miłość jego może szkarłat wybielić — nie należy więc o żadnym wątpić zbrodniarzu; każda dusza droga w obliczu Bożem i może przyjść chwila, w której przemówi do niej... Świętym został ów łotr na krzyżu, co życie całe przepędził w występkach, Świętym został ów żołnierz co przebił włócznią serce Jezusa; Świętą, Magdalena grzesznica... i cóż dziwnego, że i dla zbójcy znalazło się miłosierdzie w niebie...

Ostatnią jego ofiarą był biedny pielgrzym, co wracał od grobu św. Wojciecha. Bardzo się mu prosił i żałośnie błagał o życie, ale nadaremnie. Konając więc pod razami maczugi wyjąknął boleśnie:

— Kiedy nie masz dla mnie litości, obyś nie doznał litości przed Bogiem!

Krudynhop roześmiał się dziko ze słów biedaka, a obdarłszy go z mienia, wrócił do swojej siedziby ulubionej, położył się w cieniu olbrzymiej jodły i zasnął

Nie mógł jednak spać spokojnie, żałośne słowa konającego jak ostry grot utkwiły mu w sercu. Śniło mu się, że sześć strasznych, piekielnych poczwar pochwyciło go w szpony, niosło powietrzem długo i nakoniec złożyły go na szczycie jasnej góry sięgającej w niebo.

Tam na jaśniejącym tronie siedział Bóg, sędzia sprawiedliwy; u stóp jego klęczały dusze wszystkich tych, których on pozabijał. Wszystkie się zwróciły ku niemu i wskazując rękoma żądały nań sprawiedliwości Boskiej. A tam w dole gorzało piekło i coraz straszniejszy żar rozniecali szatani. Bóg sędzia wyrzekł surowo: Nie ma dla niego miłosierdzia! Poczwary piekielne pochwyciły go i niosą. Daremnie ogląda się, czy która z ofiar zamordowanych nie zlituje się nad nim!... Zdala tylko obaczył nieznaną postać zakonnika o łagodnem, uśmiechniętem obliczu, który wyciągnął do niego rękę... ale za późno! Poczwary rzuciły go bezdeń piekielną i roztworzyła się z strasznym hukiem!

Tej chwili obudził się Krudynhop i nie wiedział co się z nim dzieje.

Ogromna jodła, pod którą spał, waliła się wśród przerażającego huku, piorun w nią uderzył. Wściekła burza miotała borem, Poprad wezbrany huczał straszliwie, zdawało mu się, że istotnie sądny dzień nadszedł. Drżał okropnie i wyglądał rychło owe poczwary piekielne nadlecą aby go porwać. W przerażeniu zaczął uciekać i zdawało mu się, że słyszy za sobą goniące duchy i głosy: Sądu! sądu na niego! Gdzie spojrzy zda mu się, że widzi owe dusze. I w obłokach i w drzewach jęczą boleśnie i chyrczą w skonaniu. Pioruny grzmią mu górą:

Nie ma litości, nie ma miłosierdzia!! Straszne to były obrazy złego sumienia! a Bóg dopuścił przestrach na ratunek duszy.

Gdy tak uciekał sam przed sobą, spostrzegł podróżnego dążącego w górę. Dawna zbójecka wściekłość opanowała go jeszcze i pewnie w tej chwili uradował się czart myśląc, że swoją upatrzoną duszę nazad odzyskał; zbójca leciał z podniesiona maczugą, chcąc utopić w świeżej krwi straszne wyrzuty sumienia. W tem spojrzał na niego staruszek, a zbójca opuścił ręce, poznał bowiem pogodne, uśmiechnięte oblicze zakonnika, które widział we śnie. Przejęty skruchą upadł mu do nóg wołając:

— Ojcze, przebacz mi, ojcze rozgrzesz mnie!

Zakonnik Benedyktyn zdziwiony pyta:

— Czyś to ty może Krudynhop, ów straszny zbójca?

— Jam Krudynhop, lecz rozgrzesz mnie ojcze a będę cnotliwym i całe życie będę pokutował.

Tu opowiedział mu całe życie swoje, i ostatnie zabójstwo i ostatni sen czy widzenie, kończąc:

— Wy tylko ojcze podaliście rękę! podajcie mi ją teraz! Jak jeleń spragniony żądnie wody tak ja u was szukam pociechy!

Z pobożną słodyczą podał mu staruszek rękę i słowa pociechy wlewał w jego skruszone serce; zatrzymał się przy nim jakiś czas ciesząc i spowiadając a potem odszedł do klasztoru swojego i pobłogosławił go na pożegnanie.

Krudynhop powiesił maczugę swą na drzewie i patrząc na nią płakał rzewnie, a że jeszcze powątpiewał o miłosierdziu Boskiem więc strasznie rozpaczał. W tem spostrzegł, że z maczugi ścieka kropelka krwi i rozlewając cudną woń jasnym obłoczkiem uleciała ku niebu. Wziął to za znak łaski niebieskiej; wsadził maczugę w mogiłę gdzie grzebał swoje ofiary i rzekł do siebie:

— Jeżeli się przyjmie i wyrośnie w drzewo, toć Bóg wysłuchał żalu i łez moich.

Klęczał i łzami zlewał swą maczugę i wodę jej nosił koneweczką z Popradu na klęczkach. Serdeczny był żal, szczera pokuta, Bóg i cudu nie szczędził. Maczuga zazieleniała i puściła konary nad grobem zabitych. Nabrał więc otuchy, zwołał

murarzy i zmurował kościółek obok mogiły i lipy. Koneweczkę ową, którą donosił wodę podlewając maczugę, codzień pełną pieniędzy dawał robotnikom aż wystawili kościółek. Obok wystawił sobie chatę, którą zamieszkiwał. Codzień modlił się w kościółku żałując za zbrodnie swoje. Podróżnym był opiekunem i obrońcą, przeprowadzał ich przez góry i lasy, biednych wspierał. Lud okoliczny bez obawy już zbliżał się do miejsca niegdyś tak groźnego i z nim razem modlił się w kościółku.

W kilka, w wiele może lat, przechodził znów tamtędy zakonnik Benedyktyn, zadziwił się ujrzawszy kościół, lipę i pokutującego zbójcę. Odprawił nabożeństwo, wyspowiadał, rozgrzeszył i zaopatrzył Sakramentami śś. Bóg wstąpił już do duszy nawróconego.

Skruszony zbójca pojednany z Bogiem, chcąc do ostatka wychylić kielich pokuty, zawezwał zwierzchność świecką i opowiedziawszy popełnione zbrodnie, prosił o sprawiedliwość dla siebie. Wymierzono mu ją. U stóp lipy na mogile ścięto go mieczem. Ucięta głowa potoczyła się z pagórka, a gdy się zatrzymała, widzieli ludzie jak z obu źrenic wytrysły strugi łez czystych, poczem głowa skryła się w ziemię, a źródełko czyste zostało i dotąd istnieje. Lud z bliska i zdala przychodzi do niego po wodę uzdrawiającą.

Lipa dotąd stoi obok kościółka; w jej cieniu siedząc rok w rok lud pobożny opowiada o Krudynhopie, modli się za duszę jego i tych, których pomordował. Nad drzwiami zakrystji widać wyobrażenie jego jak klęcząc podlewa lipkę koneweczką. Na ratuszu zaś pokazują maczugę potężną czarną, która miała do niego należeć i miecz jego prosty, oprawny w jaszczur.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Stary rok dobiega kresu i za dni kilka ma się zacząć nowy. Żegnamy Was w tym starym roku mili czytelnicy „Dzwonka“ i Wy wszyscy ludzie dobrej woli co o nas pamiętacie i życzymy Wam aby ten nowy, nadchodzący rok, był dla Was rokiem pociechy, szczęścia i błogosławieństwa Bożego we wszystkiem. „Dzwonek“ będzie i nadal wychodził jak dotąd i jak dotąd będzie nauczał, będzie rozweselał, będzie zachęcał do życia cnotliwego i rządnego. Czyja wola odbierać go i w nowym roku, niechajże przysyła co potrzeba na druk i na papier, to jest 1 zł. na pół roku a za to złoży się znowu piękna książeczka jak niniejsza. Kto zaś przyszle 2 zł. będzie odbierał „Dzwonek“ przez cały rok następny.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.